

Zygmunt Kujawski

Relacja z Powstania

Urodziłem się w Piotrkowie 7 III 1916. Tam chodziłem do gimnazjum, mieszkałem w bursie, tam też wstąpiłem do ZHP. Przeszedłem przez wszystkie szczeble kariery harcerskiej, uzyskałem wszystkie stopnie młodzieżowe aż do Harcerza Rzeczypospolitej. Miałem także stopień instruktorski podharcemistrza. Byłem w Piotrkowie drużynowym IV drużyny im. T. Kościuszki. Przez rok byłem w założonych przez ówczesnego wojewodę Grażyńskiego Harcerskich Ochotniczych Obozach Pracy na Śląsku, gdzie pracowałem m. in. przy pogłębianiu ujścia Białki do Wisły. Kiedy obozy te pracowały w Spale przy budowie szosy, byłem w nich sanitariuszem. W 1935 r. w drodze konkursu dostałem się do Szkoły Podchorążych Sanitarnych. Zostałem przyjęty z 7. lokatą. Było to moje wielkie życiowe osiągnięcie – kandydowało 1500 osób, a było 50 miejsc. Dawało mi to jednocześnie wstęp na Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. W tej szkole przetrwałem do wojny. Dosłużyłem się w niej stopnia st. sierżanta podchorążego.

Na wojnę poszedłem jako komendant pociągu sanitarnego. 6 IX zostałem mianowany podporucznikiem. Po rozmaitych perypetiach zostałem lekarzem batalionu 25 pp. Pod Krasnobrodem byłem ciężko ranny. Znalazłem się w szpitalu w Zamościu. Do Warszawy wróciłem w końcu października. Miałem zgłosić się do władz niemieckich. Zatrzymałem się w Szpitalu Ujazdowskim, gdzie przebywałem jako rekonwalescent, a zarazem pomagałem w opiece na innymi rannymi. Szpital Ujazdowski był w tym czasie szpitalem wojskowym, gdzie przebywało wielu oficerów i żołnierzy, którzy potem ukradkiem wymykali się Niemcom. (według Konwencji Genewskiej Niemcy mieli obowiązek przez 6 miesięcy opiekować się rannymi.)

31 marca 1940 r. zostałem oficjalnie zdemobilizowany i przeszedłem do miejskiej służby zdrowia. Pracowałem w Sanepidzie, w akcji przeciwepidemicznej. Niemcy, którzy bali się epidemii, wydali mi specjalny dokument – legitymację, która później bardzo ułatwiła moja działalność. Szybko włączyłem się do pracy konspiracyjnej. Pracowałem w sanitariacie IV obwodu sanitarnego (Śródmieście), u mjr Zagończyka (Stanisław Steczkowski), Byłem szefem sanitarnym obwodu. Praca polegała na szkoleniu sanitariuszek, na gromadzeniu materiałów opatrunkowych i sprzętu. Wiosną 1943 r. szef sanitarny Kedywu, mjr Sadowski (Skiba) zaproponował mi prace w akcji dywersyjnej Kedywu. Poprosiłem swego dowódcę Zagończyka o zgodę na przeniesienie. Do Kedywu przeszło nas wtedy pięciu lekarzy, wszyscy z dawnej Szkoły Podchorążych. Mnie przypadł w udziale oddział harcerski Zośka. Skierowano mnie do dowódcy tej grupy, kpt. Jerzego (Ryszard Białous). Nie wiedziałem, że jest to oddział harcerski – obowiązywała przecież konspiracja. Powiedziano mi jedynie, że jestem przydzielonym z urzędu lekarzem, że zakres moich obowiązków jest taki i taki, mam leczyć wszystkich żołnierzy, nieść pomoc chorym i rannym, a także ich rodzicom i szkolić członków Zośki w ratownictwie, by sami mogli sobie w razie potrzeby udzielać pomocy. Jak się później dowiedziałem, moje przystąpienie do Kedywu było swego rodzaju efektem niedomogów osłony sanitarnej w niedawnej akcji pod Arsenalem. Sprawa braku zapewnienia odpowiedniej opieki dla uczestników tej akcji była bowiem przedmiotem dyskusji w Kedywie i to wtedy postanowiono utworzyć własną służbę zdrowia mającą oparcie w warszawskich szpitalach i bazującą na wytypowanych lekarzach, którzy na hasło przyjmą do szpitala każdego chorego. Ja oficjalnie pracowałem jako młodszy asystent w klinice chirurgicznej na Koszykowej (dzisiaj jest to szpital MON). Pełniłem tam niejako permanentny dyżur. To pozwalało mi przyjmować tam postrzelonych rannych i udzielać im pomocy.

Jako lekarz batalionu brałem czynny udział w działaniach bojowych Zośki. Pierwszą moją akcją były Sieczychy. Pojechałem do stacji Dalekie i tam w lesie spotkałem patrol, który mnie przejął. Ze zdumieniem zauważyłem wtedy, że chłopcy mają krzyże harcerskie. Było dla mnie wówczas wielkim odkryciem, że ten oddział, którym się opiekuję, jest oddziałem harcerskim. Ja stary instruktor harcerski, byłem tym bardzo przejęty i wzruszony. Po raz pierwszy zresztą zetknąłem się wówczas z tak liczną grupą ludzi zgromadzonych przed akcją. Do tej pory spotykałem się w czasie szkolenia najwyżej z zespołami pięciu-sześciu chłopców.

Podczas ataku na strażnicę miałem mieć stanowisko przy lekkim karabinie maszynowym, z tyłu ale nie wytrzymałem. Czując pistolet w garści, wszedłem do walki. Akcja zakończyła się śmiercią Zośki (hm. Tadeusz Zawadzki). Pamiętam odskok, bardzo dla nas ciężki. Jechałem samochodem ciężarowym, w którym leżał przykryty plandeką poległy Zośka i trzech czy czterech schowanych innych żołnierzy, a w szoferce, obok kierowcy, ja i jeszcze ktoś, chyba Mikołaj, żołnierz pochodzący ze Śląska. Od Wyszkowa posuwaliśmy się wzdłuż ogromnej kolumny niemieckich samochodów pancernych i czołgów, które jechały gdzieś na wschód na jakąś pacyfikację. Byliśmy zatrzymani i legitymowani, ale „lewe” papiery mieliśmy w porządku, więc skończyło się tylko na emocji. W Wołominie ciało Zośki złożyliśmy w szpitalu zakaźnym.

Pamiętam, że w akcji wzięły udział dwie podległe mi sanitariuszki, Irena i Marta. Pojechały tam pomimo mojego zakazu, potem jednak to zaakceptowałem. Cały oddział był przecież powiązany jakimiś niemi przyjaźni i koleżeństwa. One nie wytrzymały, pojechały i spotkaliśmy się w pociągu. Pamiętam także, że po powrocie do Warszawy wysadzono nas na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Musiałem na Chmielnej oddać broń i otrzymałem swoje papiery. Byłem zmęczony i niewyspany. Szedłem z walizką pełną zakrwawionych narzędzi, gdyż przed samą akcją został ranny przewodnik, któremu wyciągnąłem kulę z ramienia. Nagle zrobiło się przede mną pusto na ulicy. Na placu na rogu Szpitalnej zobaczyłem trzech żandarmów i cywila, którzy rewidowali wszystkich mężczyzn. Chcę wejść do sklepu – zamknięte, do bramy zamknięte. Myślę sobie – koniec. Nie mam dokumentów, tylko odbezpieczonego visa. Idę na nich i mrugam do tego cywila na trzy kroki przed nim, że to przecież ostatnia jego chwila – byłem dość dobrym strzelcem. I on do mnie mruga, i nie zatrzymywany idę dalej. Na Chmielnej 20, gdzie była szkoła tańców, były małe schodki. Tam nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Usiadłem w progu.

Po akcji musiałem zdawać raport. W efekcie od dowódcy dostałem pochwałę za bojową postawę, a od dowódcy sanitarnego Kedywu trzy dni aresztu domowego. Ten ostatni wytłumaczył mi bowiem, że gdybym w tej akcji zginął, oddział pozostałby bez lekarza. A moim zadaniem była właśnie opieka lekarska nad tymi ludźmi. Musiałem obiecać poprawę.

Potem tych akcji nie było więcej – pod Wilanowem, czy odwołana akcja odbicia więźniów w Milanówku w maju 1943 czy 1944 r. Chłopcy życzyli sobie mojego udziału. Widocznie podobała im się moja postawa pod Sieczychami. Akcja w Milanówku nie doszła do skutku, nie wiem, z jakiego powodu. Odwołano przyjazd zapowiadzianego pociągu? Pamiętam, że zostawiono mnie wówczas z moim personelem i z rozłożoną salką operacyjną urządzoną w szkole przy szosie w Milanówku. Akcja została odwołana, chłopcy odjechali, a myśmy zostali. Tymczasem akurat przyszli Niemcy, żeby tę szkołę zająć na kwatery. Mimo więc że sama akcja się nie odbyła, było więcej emocji, niż gdyby się odbyła.

Brałem udział jako osłona lekarska w akcji na samoloty pod Wawrzyszewem. Uczestniczyłem w akcji „Sonderwagen”. Ponieważ miałem tego dnia dyżur w szpitalu, więc

zamieniłem się z kolegą i wyszedłem na akcję. Udzieliłem pomocy rannym. Jednego kazałem zawieźć do szpitala, gdzie go przyjąłem jako lekarz dyżurny, drugiego po niezbędnych czynnościach ratunkowych odwiozłem do domu i potem tam odwiedzałem. Byłem także w bazie leśnej pod Wyszkwem. Przebywałem tam przez dwa dni. Nie było tam rannych ani chorych, poza jakimś powierzchownymi obtarciami czy skaleczeniami. Pojechałem tam tylko w celu sprawdzenia stanu zdrowia tych żołnierzy, po czym szybko wróciłem.

Niektóre z akcji, w których uczestniczyłem, były bardzo ciężkie. Na przykład w Wilanowie gros zadań po zakończeniu ataku – ewakuacja i opieka nad rannymi – spoczywało na mnie. Wszystkich rannych zabraliśmy samochodem ciężarowym szosą w kierunku Jeziornej. Ułożyliśmy ich na górze, a ja z Andrzejem Morro (płm. Andrzej Romocki) siedzieliśmy przy kierowcy. W akcji została przestrzelona chłodnica tego wozu i musieliśmy po jakimś czasie stanąć. W pewnym momencie zobaczyliśmy światła nadjeżdżającego samochodu. Okazało się, że to są strażacy, którzy wzięli nasz samochód na hol i zawieźli do klasztoru sióstr zakonnych w Chyliczkach. Tam z dwiema sanitariuszkami opatrzyłem rannych. Wezwałem kapelana. Po śmierci dwóch ciężko rannych chłopców zająłem się ich pogrzebaniem i do rana czuwałem nad pozostałymi, robiłem zastrzyki i opatrunki. Muszę powiedzieć, że mieszkające tam siostry zachowały się dość nieprzyjemnie, nie chciały mi zbyt wiele pomagać. Pomagała mi trochę tylko jakaś służąca. Musiałem wykopać grób i tych dwóch poległych sam pochować.

Wracałem nad ranem kolejką wilanowską z jedną sanitariuszką. Druga została na miejscu. W Wilanowie weszli do wagonu esesmani. Udawałem wtedy, że flirtuję z dziewczyną, z którą jadę. W domu dopiero – mieszkałem na Koszykowej – zwróciłem uwagę, że całe spodnie mam we krwi. Poplamiałem się przenosząc ciała tych chłopaków do grobu. Sanitariuszka, z którą przyjechałem, zaraz podała na skrzynce wiadomość do szefa sanitarnego Kedywu, że jest dwóch zabitych leżących w parku w Chyliczkach i że trzeba przetransportować zwłoki. Trzeba także zabrać z klasztoru dwóch rannych. Przewieziono ich potem do domu starców w Górze Kalwarii, a potem do Warszawy. Tym transportem zajmowało się już szefostwo sanitarne. Od tej pory ja się już tą akcją nie zajmowałem. Po akcji brałem udział w odprawie u dowódcy batalionu i u szefa służby sanitarnej Kedywu. Wytykano tam błędy i udzielano pochwał.

Swoją pracę w batalionie zorganizowałem w następujący sposób. Miałem bezpośrednią łączniczkę, Paulinkę, oraz stały zespół sanitariuszek, bezpośrednio mnie podlegających, wytypowany do pomocy w czasie akcji. Były to: Alina, Hanka, Mała Alusia, Gruba Zosia, Irena i Marta Grundman. One podlegały bezpośrednio mnie, były w dowództwie batalionu i stanowiły personel szefa sanitarnego batalionu. Niektóre z nich wybrałem ja, niektóre zostały mi przydzielone. Poza tym każdy pluton miał jedną lub dwie sanitariuszki. W każdej kompanii była także sanitariuszka kompanijna. Sanitariuszki szkoliły się na własną rękę, dochodząc do rozmaitych szpitali. Taka „Baza szkolenia” był Szpital św. Rocha na Krakowskim Przedmieściu, a także klinika chirurgiczna na Koszykowej i Szpital Dzieciątka Jezus. Poza tym organizowałem z nimi ćwiczenia, wykłady, instruktaż sanitarny. Gromadziliśmy również leki, opatrunki osobiste, materiały opatrunkowe. Tych sanitariuszek, które pełniły jednocześnie rolę łączniczek, było w sumie około 60 w całym batalionie. Ponieważ pracowaliśmy w małych grupach – drużynach, plutonach – wszystkie one ujrzały się wzajemnie dopiero w momencie wybuchu powstania.

Bywałem na odprawach w dowództwie batalionu i na odprawach u szefa sanitarnego Kedywu, wraz z lekarzami z innych oddziałów. Tam dostawaliśmy instrukcje czy

wysuwaliśmy postulaty. Miałem poza tym łączność „w dół”. Poprzez łączniczkę Paulinkę przesyłałem m. in. instrukcje w zakresie szkolenia. Na przykład informowałem dowódców plutonów, że na najbliższej odprawie będę prowadził szkolenie z zakresu zachowania się rannego w walce. Moje postulaty wobec dowództwa batalionu były zawsze przyjmowane z pełnym zrozumieniem i życzliwością. Na przestrzeni mojej półtorarocznej pracy nie było żadnej kolizji, nie mieliśmy żadnych sprzecznych zdań. Jestem zawodowym wojskowym – skończyłem podchorążówkę. Muszę powiedzieć, że zarówno dyscyplina, jak i organizacja batalionu zaimponowały mi. Unikaliśmy wszyscy osobistych kontaktów, utrzymywaliśmy łączność przez łączniczki. Moją była Paulinka. Gdzieś na Chmielnej miałem skrzynkę kontaktową z szefem sanitarnym Kedywu. W razie nagłej potrzeby mogłem się tam zgłosić i po podaniu hasła w ciągu trzech godzin dostawałem informację, gdzie się mam zgłosić na spotkanie. Unikaliśmy, ze względu na bezpieczeństwo, zbiorowych odpraw, spotkań. Przebieg planowanej akcji zawsze był dostosowywany do jej celów. Sprawa sanitariatu zawsze musiała być temu przyporządkowana. W związku z tym nie pytano o moje uwagi na temat np. bezpieczeństwa uczestników akcji, natomiast informowano mnie o jej założeniach i polecano zorganizowanie pomocy lekarskiej i ewakuacji rannych. W jaki sposób? To była już moja sprawa. Jeżeli już chodzi o wszelkie kwestie techniczne, np. transport, występowałem do szefa sanitarnego Kedywu. W szefostwie sanitarnym była odpowiednia komórka, która zajmowała się tymi sprawami. Raz mogli mi dostarczyć karawan, drugi raz wóz meblowy, a jeszcze kiedy indziej wóz konny. Ja już o tym nie decydowałem. Zawsze korzystałem z transportu Kedywu. Batalion Zośka też miał pluton motorowy, ale te wozy były wykorzystywane tylko do akcji bojowych, natomiast transport rannych był kwestią sanitariatu. Ja byłym przy tym tylko postulującym.

Jak wspominałem, początkowo nie wiedziałem, że trafiłem do oddziału harcerskiego. Później jednak obserwując z bliska chłopaków z Zośki, widziałem tę ich harcerską specyfikę. W czasie konspiracyjnych zebrań zwracali się do mnie „druhu doktorze”, byli bardzo sumienni. Wiedziałem, że na każdym z nich mogę bezwzględnie polegać. Pojęcie harcerstwa w owych czasach łączyło się z odczuciem odpowiedzialności, ogromnego oddania sprawie i bezwzględnego posłuszeństwa w wykonywaniu rozkazów. Spotykałem się i z Rossmanem, i z Piotrem Pomianem (Eugeniusz Stasiecki). Wiadomo mi, że odbywały się także harcerskie pogadanki, na których kładło się nacisk na morale. Istniał przecież wielki dylemat, jak pogodzić harcerską wiarę w człowieka, w ideały, wiarę katolicką z problemem zabijania wroga. Starano się, żeby nawet w akcji wykonywania wyroków nie wypaczały się tym ludziom charaktery, żeby nie stawali się zabijakami. Byli to przecież ludzie, którzy mieli budować Polskę.

Byłem na niektórych pogadankach Pomiana i widziałem go w takich rozmowach. Pamiętam jak dziś, leżeliśmy w czasie powstania w jakiejś piwnicy domu przy Inflanckiej, w jednej stojącej jeszcze wśród tego rumowiska kamienicy. Nasi ja utrzymywali, a ja tam opatrywałem rannych. Piotr mówił wtedy o powinności harcerza Polaka. Bardzo pięknie mówił. Jest najistotniejsze, że mimo całej brutalności, tragizmu tej wojny, próbowano wykrzesać, zachować w tych chłopcach te ideały. W Zośce było sporo studentów medycyny, którzy chodzili na tajne komplety Zaorskiego. Ponieważ ja w tej pierwszej akcji byłem taki spokojny, oni stwierdzili: „Pan doktor działa jak brom”. I od tej pory zostałem doktorem Bromem. Nie korzystałem z ich lekarskich umiejętności – oni byli zajęci walką. Dla mnie było najistotniejsze, by potrafili sobie założyć opatrunek osobisty i znali zasady pierwszej pomocy, zarówno sanitariuszki jak i żołnierze. Każdy żołnierz był przeszkolony w tym zakresie.

Interesowałem się także sprawami zdrowia żołnierzy, niekoniecznie w związku z walką. Zdarzało się przecież, że ludzie chorowali. Dowiadywałem się o tym od łączniczki. Odwiedzałem ich w domu, gdy trzeba było, umieszczałem w szpitalu. W tym zakresie stał nam zawsze otworem Szpital Ujazdowski. Pamiętam, że tak ciężko zachorował Jur, będący teraz w Kanadzie, u którego podejrzewałem ziarnicę złośliwą, ale była to tylko jakaś infekcja gruczolowa. Jeździłem nie tylko do chłopców, ale gdy była potrzeba, także do ich rodzin. Chorzy dostawali pomoc żywnościową i pieniężną.

Wielu żołnierzy było niedożywionych. Często trzeba było sięgać po pomoc pieniężną do szefa sanitarnego, który też miał odpowiednią ekipę. Była w niej Pani Stasia (Stanisława Kwaskowska), która poprzez łączniczki wysyłała pieniądze czy mąkę lub tłuszcz – niezależnie od leków. Każdy udawał silniejszego, niż był. Nagminnie udawali, że są starsi niż w rzeczywistości. Falszowali sobie dokumenty i mając 14 lat utrzymywali, że mają 16 czy 17. Każdy, który był chory usiłował ten fakt zataić, aby nie zostać wyłączonym z jakiejś akcji czy wyprawy. To było dla nich niezwykle charakterystyczne. Jedną z najcięższych kontuzji była w akcji była w akcji „Sonderwagen”, kiedy jeden z chłopaków miał przestrzeloną głowę. Nie pamiętam innych sytuacji, kiedy ktoś z powodu choroby był zupełnie wyłączony z działalności konspiracyjnej. U niektórych podejrzewałem gruźlicę, ale oni specjalnie taili przede mną wszelkie objawy.

W powstaniu przeszedłem z batalionem Zośka cały szlak bojowy. Najpierw ewakuowałem rannych do szpitala na Płocką i do szpitala dziecięcego na Karolkowej. Potem założyłem szpital w Szkole św. Kingi na Okopowej, zarekwirowawszy w zakładach na Spokojnej materiały opatrunkowe i prześcieradła. Muszę powiedzieć, że pracowałem wówczas dzień i noc, właściwie bez pomocy. Były przy mnie tylko pielęgniarki. Przeprowadziłem mnóstwo operacji. Potem wycofaliśmy się na Stare Miasto. Najpierw byłem w Szpitalu Jana Bożego na Bonifraterskiej, później zaś dowództwo zleciło mi zorganizowanie szpitala dla „zośkowców” na Długiej 23. Najpierw urządziłem go na I piętrze, gdzie były przedtem jakieś biura. Szybko przeniesiono mi łóżka, koce, pościel. Na drugi dzień, kiedy wszystko było już gotowe i w szpitalu było około 100 rannych, których pościągaliśmy z miejsc, gdzie leżeli do tej pory, nastąpiło bombardowanie. Ulokowaliśmy się więc w piwnicach. Szpital wielokrotnie był bombardowany, wielokrotnie się palił. Świeciliśmy lampami zasilanymi z akumulatorów wymontowanych z nieczynnych samochodów. Pracy było mnóstwo. Wraz ze mną było tam wtedy małżeństwo Zapolskich, chyba ukrywających się w Warszawie Żydów. Oboje byli dermatologami, ale potrafili mi pomóc. No i ten mój zespół sanitarny, o którym mówiłem. Mieliśmy 31 rannych Niemców, których ja operowałem, a nasze sanitariuszki obsługiwały. Dzięki temu był to jedyny szpital, którego Niemcy potem nie zlikwidowali, gdyż ci chorzy i ranni Niemcy zaczęli protestować, krzyczeć. To był jedyny szpital, który Niemcy pozwolili potem ewakuować na Płocką.

Po nieudanej próbie przebicia otrzymałem rozkaz, by rannych zdolnych do transportu ewakuować kanałami do Śródmieścia. Przeprowadziłem ich, polokowałem po rozmaitych szpitalach – na Wspólnej, na Hożej, gdzie się dało. Później była zbiórka w ambasadzie bułgarskiej w Alejach Ujazdowskich, skąd przeszliśmy na Czerniaków, który wówczas, w początkach września, wydawał się oazą spokoju. Gdy i tam zaczęły się walki, urządziłem szpital na ulicy Okrąg 2, na rogu Wilanowskiej. Padałem ze zmęczenia. Pracował tam ze mną dr Kaczyński (Bogdan), który był lekarzem Miotły. Razem operowaliśmy. 20 IX przebiliśmy się na Solec i następnie kanałami na Mokotów. Na Mokotowie z początku było spokojnie, ale później i tam zaczęło być bardzo ciężko. Były tam już tylko resztki Zośki, Parasola, Miotły. Po przejściu ze Starego Miasta do Śródmieścia zostałem mianowany szefem sanitarnym

zgrupowania Radosław. Poprzedni szef, dr Skiba, zachorował i poszedł kanałami na Żoliborz, a stamtąd do Kampinosu. Byłem więc szefem sanitarnym na Czerniakowie i Mokotowie. Na Mokotowie otrzymałem rozkaz przejścia z powrotem do Śródmieścia. Po raz trzeci szedłem więc kanałami. Nazajutrz po przyjeździe do Śródmieścia, otrzymałem na odprawie polecenie, by gromadzić naszych rannych w szpitalu na ul. Śniadeckich 15, w szkole.

Gdy przyszła kapitulacja, znowu otrzymałem rozkaz, by jechać z rannymi do obozu, do szpitala jenieckiego. Pojechałem. Był to Stalag IV B w Saksonii, na północ od Drezna. Armia sowiecka uwolniła nas 24 IV 1945 r., a ja jeszcze przez cały maj opiekowałem się tymi rannymi i chorymi. Potem w początkach czerwca, jako jeden z niewielu lekarzy, powróciłem do Polski. Pracowałem na Ziemiach Odzyskanych, byłem lekarzem w Szczawnie Zdroju. W okresie aresztowania Radosława byłem wielokrotnie przesłuchiwany, siedziałem przez kilka dni w areszcie. Kilkanaście razy pisałem swoje życiorysy. Byłem jednak na tym terenie jedynym lekarzem. To mi chyba pomogło. Nigdy jednak nie tałem swoich związków z konspiracyjnym harcerstwem, z AK. Zawsze się tym szczyciłem i otwarcie o tym pisałem.

13 września 1983 r.

Życiorys

Urodzony w Piotrkowie Trybunalskim. Ukończył Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego. Przed II wojną światową ukończył Centrum Wyszkożenia Sanitarnego i Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Zmobilizowany we wrześniu 1939 r. Ranny pod Krasnobrodem. Po wyzdrowieniu wstąpił do pracy w konspiracji, do organizacji Służba Zwycięstwu Polski. Od 1942 w Armii Krajowej, na stanowisku szefa sanitarnego IV rejonu AK. Wiosną 1943 r. włączony do Grup Szturmowych Szarych Szeregów. Jako doktor „Brom” uczestniczył w akcjach przeciw okupantowi. Uczestnik licznych akcji dywersyjnych m. in. w Sieczkach, Wilanowie i Wawrzyszewie. Od 1 IX 1943 r. przydzielony jako lekarz do batalionu „Zośka”, z którym przeszedł szlak powstańczy od Woli, przez Stare Miasto, a następnie Czerniaków. Ceniony za fachowość i okazywane serce. Wśród rannych w szpitalu połowym przy ul. Miodowej 23, leczył również niemieckich jeńców. Uratowało to rannych i personel przed zagładą po upadku Starówki. Po upadku przyczółka czerniakowskiego razem z ranami dostał się do obozu jenieckiego Stalag IV B z Zeithain koło Drezna.

Po wojnie rozpoczął pracę na Ziemiach Odzyskanych, na Śląsku w Piaskowej Górze. W 1948 r. objął stanowisko dyrektora Sanatorium w Szczawnie Zdroju. Po kilku latach przeniósł się do Nasielska. Uwzględniając jego zdolności organizatorskie i zapał do pracy, powołano go na stanowisko naczelnika zarządu służby Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych. W czasie czternastoletniej kadencji dr „Broma” wybudowano Szpital Kolejowy w Międzyzlesiu i zreorganizowano Szpital Kolejowy im. Dr Roeflera w Pruszkowie. Od 1966 r. był przewodniczącym Środowiska żołnierzy Armii Krajowej batalionu „Zośka”. W 1978 wyjechał na kilka lat do Libii.

Jest odznaczony za działalność w harcerstwie Rozetą z Mieczami, za pracę zawodową Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 16 VIII 1996 r. w Warszawie. Pochowany na Cmentarzu Wojskowym Powązkowskim, opodal kwatery poległych kolegów, sanitariuszek, łączniczek Armii Krajowej batalionu „Zośka”.